

Janette Oke

*Miłość przychodzi  
łagodnie*

**Psalm18.pl**

twoje źródło inspirujących książek

[www.wydawnictwo.psalm18.pl](http://www.wydawnictwo.psalm18.pl)



## Rozdział 1

*Śmierć*

**P**oranne słońce oświetlało swym blaskiem płótno pokrywające wóz, obiecując dzień niezwykle ciepły jak na połowę października. Marta budziła się, powoli powracała do rzeczywistości z trudnego, niespokojnego snu. Dlaczego czuła się tak przygnębiona i cała w nerwach – ona, która zazwyczaj budziła się gotowa, by każdego dnia przeżywać nową przygodę? Nagle wszystko jej się przypomniało i opadła z powrotem na posłanie, z którego właśnie się podniosła. Jej drobnym ciałem wstrząsnął szloch. Clem nie żyje. Ten silny, lubiący się chwalić, nieco dziecinny Clem, który tak szybko i łatwo ją w sobie rozkochał. Zobaczyła go po raz pierwszy niecałe dwa krótkie lata wcześniej. Był taki pewny siebie, niemal zarozumiały. Czternaście miesięcy później jako jego żona przybyła na Zachód, rozpoczynając nową, wielką przygodę z mężczyzną, którego kochała. Tak było do wczoraj.

– Och, Clem! – zapłakała.

Wczoraj zawalił się cały jej świat. Przyszli do niej jacyś mężczyźni, którzy powiedzieli, że Clem nie żyje. Zginął na

miejscu. Jego koń się przewrócił. Zwierzę trzeba było dobić. Zapytali, czy chce pojechać z nimi, ale wołała zostać. Nie chciała także towarzystwa żadnej z ich żon.

– Dam sobie radę – powiedziała dziwiąc się, jak te słowa jej w ogóle przeszły przez gardło.

Jeden z nich obiecał, że z pomocą żony zajmie się ciałem, a sąsiedzi przygotowują pogrzeb. Całe szczęście, że pastor akurat odwiedzał tę okolicę. Miał wyjechać dzisiaj, ale w takich okolicznościach na pewno zostanie dłużej. Kilka razy pytali, czy nie wolałaby pojechać z nimi. Nie chcieli zostawiać jej samej, ale samotność była właśnie tym, co było jej w tej chwili potrzebne. Odjeżdżając zapewnili ją raz jeszcze, że wszystkim się zajmą i obiecali, że przyjadą jutro rano. Mogła im tylko podziękować...

Odjechali, zabierając ze sobą ciało Clema owinięte w koc i przymocowane do grzbietu konia. Sąsiad, który powinien na nim jechać, zamiast tego prowadził zwierzę powoli, uważając na jego ładunek.

Nastał nowy dzień i słońce świeciło jak gdyby nigdy nic. Dlaczego słońce świeci? Czy przyroda nie wie, że dzisiaj powinna być równie pozbawiona życia jak ona? Że powinien wiać wiatr zimny jak chłód, który ściska jej serce?

– Och, Clem! Clem! – zawołała głośno. – Co ja teraz zrobię?

Była jesień, a ona znajdowała się na dalekim Zachodzie, bez możliwości powrotu do domu, nie znając tutaj nikogo i w dodatku spodziewając się dziecka Clema. Wszystko to powinno być źródłem jej zmartwień. W tej chwili jednak mogła myśleć jedynie o bólu wywołanym ogromną stratą i tylko to rozumiało jej serce.

Clem był taki podekscytowany, kiedy wyruszał na Zachód.

– W tym nowym kraju znajdziemy wszystko, czego tylko zapagniemy. Ziemia jest tam za darmo.

– A co z dzikimi zwierzętami... I Indianami? – wyjąkała.

Zaśmiał się z jej niemądrych obaw, podniósł ją w swych silnych ramionach i okręcił dookoła w powietrzu.

– A dom? Przecież będzie prawie zima, gdy tam dotrzemy.

– Sąsiedzi pomogą nam w budowie. Słyszałem, że tam wszyscy sobie pomagają.

I pomogliby. Gdyby zaszła taka potrzeba, zostawiliby nawet zbiory na polach, a swój czas poświęciliby na zbudowanie dachu nad głową dla potrzebującego pomocy nowego przybysza, nawet gdyby był trochę zarozumiały i beztroski – jak Clem. Zrobiliby to, ponieważ dobrze wiedzieli, jak ostre są w tych stronach zimowe wiatry.

– Wszystko będzie dobrze. O nic się nie martw – obiecywał Clem.

Gdy przybyli w te okolice, zatrzymali się przy jednej z farm i Clem poszedł zasięgnąć języka. Przy przyjacielskim kubku kawy przyszyły sąsiad powiedział mu, że jest właścicielem ziemi aż do strumienia, natomiast ziemia położona poza nim, ciągnąca się aż do wzgórz, nie została jeszcze przez nikogo zajęta. Clem z wysiłkiem powstrzymywał się, aby nie wykrzykiwać i nie skakać z radości. Sama myśl o tym, że jest tak blisko swojego marzenia, napęniała go niecierpliwym oczekiwaniem. Wyruszyli pospiesznie, nieco zbyt pospiesznie jak na obładowany i szereg razy naprawiany wóz. Byli bardzo blisko celu, gdy pękło koło – ale tym razem już nie nadawało się do naprawy.

Noc spędzili jeszcze na ziemi sąsiada. Clem nabierał kamieni i większych gałęzi, po czym podłożył je pod zepsuty wóz, starając się nadać mu pozycję poziomą. Rankiem zorientowali się, że spotkało ich jeszcze jedno nieszczęście, gdyż w nocy uciekł jeden z koni. Zerwany sznur zwiślał z drzewa, do którego był przywiązany. Clem wyruszył na drugim koniu, aby poszukać pomocy.

Teraz wiedziała, że już nie wróci. Nie zajmie dla siebie żadnego kawałka ziemi, nie zbuduje domu, z którego mógłby być dumny...

Jej uwagę zwróciły odgłosy na zewnątrz wozu. Wyjrzała nieśmiało przez szparę. Przybyli sąsiedzi – czterech mężczyzn ze smutkiem na twarzach w milczeniu i z powagą kopało dół pod największym w okolicy świerkiem. Gdy uświadomiła sobie, dlaczego to robią, jej duszę na nowo rozdarł ból. Grób dla Clema. To wszystko prawda. Ten straszny koszmar faktycznie się wydarzył. Została sama. Clem nie żyje. Mają pogrzebać go na czyjejś ziemi.

– Och, Clem! Co ja teraz zrobię?

Płakała aż do momentu, gdy skończyły jej się łzy. Tymczasem mężczyźni kopali dalej. Słyszała zgrzytanie łopat, a każde zagłębienie metalu w ziemię było dla niej jak cios prosto w serce. Czas włókł się niemilosierdzie.

Nagle usłyszała jakieś nowe dźwięki. Przychodzili kolejni sąsiedzi. Musi wziąć się w garść. Clem wstydziłby się, widząc ją w takim stanie.

Wygrzebała się spod koca, jakoś przyglądziła potargane włosy i szybko włożyła ciemnoniebieską bawełnianą suknię. To

najodpowiedniejsze ubranie, jakie miała na taką okazję. Wziąwszy do ręki grzebień oraz ręcznik zeskoczyła z wozu i poszła do strumienia, aby obmyć twarz z łez i uczesać splątane włosy. Gdy już to zrobiła, wyprostowała plecy, podniosła głowę i ruszyła na spotkanie nowych sąsiadów.

Wszyscy byli bardzo życzliwi. Czuła to. Cechowała ich nie litość, ale zrozumienie. To był Zachód. Życie tutaj było trudne. Prawdopodobnie każdy z nich przeżył podobne chwile. Ale nie można się było poddać, trzeba było żyć dalej. Nie można tu marnować czasu ani siły na litość – ani dla siebie, ani dla drugiego. Trzeba było całym sobą stawić czoło trudnościom, akceptować również śmierć jako część życia i, choć było to trudne, żyć dalej.

Pastor mówił o poświęceniu. Mówił również o żałobie, która w tym wypadku dotykała jedną drobną, samotną osobę – wdowę po zmarłym. Nie można było bowiem liczyć dziecka, które nosiła w sobie, jako jednego z żałobników, nawet jeśli było to dziecko Clema.

Pastor wypowiedział odpowiednie na tę okazję słowa pocieszenia i umocnienia. W milczącym współczuciu sąsiedzi słuchali zdań jakże podobnych do tych, które słyszeli już nieraz. Gdy skończyła się krótka ceremonia, Marta odwróciła się od grobu i zaczęła iść w kierunku wozu, a czterech mężczyzn z łopatami zaczęło zasypywać prostą drewnianą skrzynię. Kilku sąsiadów, aby zdążyć na dziś, pracowało nad nią przez większą część nocy. Jakaś kobieta podeszła do Marty i dotknęła jej ramienia.

– Jestem Wanda Marshall – przedstawiła się. – Mamy tylko jeden pokój, ale możesz zamieszkać u nas przez kilka dni, aż podejmiesz jakąś decyzję.

– Dziękuję, jestem bardzo wdzięczna – odpowiedziała niemal szeptem. – Ale nie chciałabym być dla was ciężarem. Myślę, że zostanę tutaj przez kilka dni. Potrzebuję czasu, aby to wszystko przemyśleć.

– Rozumiem – powiedziała kobieta i odeszła.

Marta szła dalej w kierunku wozu, gdy ponownie ktoś ją zatrzymał. Tym razem była to delikatna ręka starszej kobiety.

– Wiem, że jest ci ciężko. Ja także przed wielu laty pogrzebałam mojego pierwszego męża i wiem, co czujesz – przerwała na chwilę, a potem dodała: – Chyba nie miałaś czasu, aby zastanowić się, co dalej?

Widząc jak Marta przecząco kręci głową, kontynuowała:

– Nie mogę zaproponować ci miejsca, gdzie mogłabyś się zatrzymać. Jest nas zbyt dużo. Ale mogę dać ci coś do jedzenia, a jeśli chciałabyś postawić swój wóz na naszym podwórzu, chętnie pomożemy ci spakować rzeczy. Mój mąż, Ben Graham, chętnie zawiezie cię do miasta, kiedy tylko będziesz gotowa.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho Marta. – Ale myślę, że pozostanę przez pewien czas tutaj.

Nie mogła przecież powiedzieć im, że nie ma pieniędzy, aby zatrzymać się w miasteczku nawet na jedną noc, ani żadnej perspektywy, że je zdobędzie. Jaką pracę mogłaby dostać młoda, niedoświadczona kobieta w jej stanie? Czy miała przed sobą w ogóle jakąkolwiek przyszłość?

Jej ciężkie stopy ledwie zanosły ją do wozu. Odsunęła płótno zasłaniające wejście. Chciała wczłogać się do środka, zniknąć ludziom z oczu i pozwolić, aby świat ją pochłonął.

Było już skwarne południe. Gorący podmuch wiatru przyprawiał ją o zawroty głowy. Wycofała się na czworakach przez wejście i opadła na trawę po zacienionej stronie wozu, opierając się o złamane koło. Czuła, że zmysły ją zawodzą. Płynnie przechodziła od braku poczucia rzeczywistości do intensywnego doświadczania straty. Czuła zamęt w głowie, aż zastanawiała się, co jest realne, a co jej się tylko wydaje. Próbowwała zrozumieć, co się z nią dzieje, gdy nagle niemal podskoczyła, słysząc tak blisko siebie męski głos.

– Przepraszam.

Spojrzała w górę – wysoko w górę. Obracając w rękach kapelusz i odchrząkując, stał przed nią jakiś mężczyzna. Jak przez mgłę rozpoznała w nim jednego z tych, którzy kopali grób. Był wysoki i silny, o czym świadczyła mocna budowa ciała. Przedwcześnie postarzałym oczom przeczyły młode rysy twarzy. Spojrzała na niego, nie była jednak w stanie nic odpowiedzieć.

Wydawało się, że z dużym wysiłkiem zbierał się na odwagę, aby przemówić ponownie.

– Przepraszam, wiem, że jest to niewłaściwa chwila. Właśnie pochowała pani męża i... ale sądzę, że sprawa ta nie może czekać na lepszy czas i miejsce.

Ponownie odchrząknął, przestał wbijać wzrok w trzymany w dłoniach kapelusz i spojrzał wprost na nią.

– Nazywam się Clark Davis – powiedział szybko – i wydaje mi się, że potrzebujemy siebie nawzajem.

Marta gwałtownie wciągnęła powietrze, ale on podniósł rękę, by ją uspokoić.



– Chwileczkę – powiedział głosem brzmiącym niemal jak rozkaz. – Jest to po prostu kwestia zdrowego rozsądku. Straciła pani męża i została tutaj sama.

Rzucił spojrzenie na złamane koło od wozu.

– Pewnie nie ma pani pieniędzy, aby wrócić do rodziców. Jeśli w ogóle ma pani rodziców, do których może wrócić. A nawet gdyby, to żaden wóz nie będzie jechał tędy na Wschód aż do następnej wiosny. Ja z kolei też mam pewną potrzebę.

Przerwał na chwilę, skierował wzrok ku ziemi. Minęła mniej więcej minuta, zanim podniósł oczy i mógł mówić dalej.

– Mam dziecko, małą córeczkę, która potrzebuje matki. Wydaje mi się, że gdybyśmy się pobrali, pani i ja – spojrzał na nią kucając, aby mogli patrzeć sobie w oczy – moglibyśmy rozwiązać oba te problemy. Poczekalbym z moją propozycją, ale pastor jest tu tylko do dzisiaj i nie będzie go aż do następnego roku, do kwietnia lub maja, a więc musiałoby to być dzisiaj.

Musiał dostrzec śmiertelne przerażenie w oczach Marty.

– Wiem, wiem – wyjąkał. – Wydaje się to niemożliwe, ale co innego możemy zrobić?

*Rzeczywiście, co innego mi pozostało?* – pomyślała jak przez mgłę. *Prędzej wyzionę ducha, ot co. Wolę raczej umrzeć niż poślubić ciebie czy jakiegokolwiek innego mężczyznę. Idź precz, uciekaj!*

On nie odgadł jednak jej wzburzonych myśli i kontynuował:

– Starałem się sam być ojcem i matką dla Missie, ale nie idzie mi to zbyt dobrze. Przez cały czas muszę przecież pracować w polu. Mam dobry kawałek ziemi i dość wygodną, chociaż małą chatę. W zamian za opiekę nad moją Missie mogę dać pani wszystko, czego może potrzebować

kobieta. Jestem pewien, że z czasem ją pani pokocha. Choć jest z niej mała łobuzica... – przerwał. – To dziecko naprawdę potrzebuje kobiecej ręki. To wszystko, o co proszę. Chcę jedynie, aby była pani mamą dla Missie. Będzie pani mogła spać z nią w pokoju, a ja będę spał w przybudówce. I – zawahał się – mogę obiecać coś jeszcze. Gdy pojawi się następny wóz jadący na Wschód i będzie na nim miejsce dla pani, to jeśli nie będzie pani tutaj szczęśliwa, zapłacę za pani dojazd do domu. Stawiam tylko jeden warunek: zabierze pani ze sobą Missie. Byłoby to po prostu niesprawiedliwe, gdyby dziecko nie miało matki.

Wyprostował się nagle.

– Zostawię panią samą, żeby mogła pani to przemyśleć. Nie mamy dużo czasu.

Odwrócił się i odszedł. Jego przygarbione ramiona świadczyły o tym, jak wiele kosztowały go te słowa. Mimo to Marta była wzburzona i zła. Co to za mężczyzna, który proponuje małżeństwo – nawet takie – kobiecie, która dosłownie dopiero co odeszła od grobu swojego męża? Była zrozpaczona. *Wolę raczej umrzeć. Wolę umrzeć* – mówiła sobie. Ale co z dzieckiem Clema? Nie chciała przecież, aby ono umarło. Ogarnęło ją uczucie frustracji. Co za sytuacja! Nikogo, żadnej pomocy na tym zapomnianym przez Boga Zachodzie. Rodzina i przyjaciele byli daleko, a ona została całkiem sama. Wiedziała, że ten człowiek miał rację. Potrzebowała go i z tego powodu go znienawidziła.

– Nienawidzę tego kraju! Nienawidzę! Nienawidzę tego zimnego, nieszczęsnego człowieka! Nienawidzę go! Nienawidzę!

Ale nawet gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Otarła łzy i wstała z zacienionej trawy. Zdecydowała, że nie będzie czekać na niego, aż w swym pańskim stylu powróci, by usłyszeć jej decyzję. Weszła do wozu i zaczęła pakować te kilka rzeczy osobistych, które posiadała.



## Rozdział 2

*Mama dla Missie*

Jechali w milczeniu jego wozem. Pastor był na obiedzie u Grahamów. Tam również Clark zostawił Missie, aby starsze dziewczęta zajęły się nią, podczas gdy on pomagał przy pogrzebie. Pastor powie, co ma powiedzieć, potem zabiorą Missie i pojedą do gospodarstwa. Siedziała sztywna i milcząca obok niego w trzęsącym się wozie. Z trudem podniosła rękę, aby odgarnąć ze spoconej twarzy włosy rozwichrzzone wiatrem. Spojrzał na nią z troską w oczach.

– Już niedługo. Na słońcu jest bardzo gorąco. Będziesz potrzebowała jakiegoś nakrycia głowy.

Siedziała dalej w milczeniu, patrząc prosto przed siebie. Co go obchodzi, że słońce parzy ją w głowę? Co ją to obchodzi? Już i tak nic gorszego nie mogło się jej przytrafić. Odwróciła głowę, aby nie widział łez napływających jej do oczu wbrew woli. Nie chciała współczucia ze strony siedzącego obok niej upartego mężczyzny.

Konie z wysiłkiem ciągnęły wóz podskakujący w koleinach, które z dużą przesadą nazywano drogą. Bolało ją całe ciało.

Z ulgą zauważyła dom Grahamów, który wyłonił się u podnóża kilku niewielkich wzgórz. Wjechali na podwórze. Zeskoczył lekko z wozu i podszedł do niej, aby jej pomóc. Była zbyt otępiła, by odmówić. Zresztą bała się, że jeśli spróbuje zejść sama, przewróci się i padnie jak długa. Bez większego wysiłku podniósł ją, postawił na ziemi i upewnił się, że złapała równowagę. Obwiązał lejce wokół palika i gestem ręki zaprosił, aby weszła przed nim do domu.

Nie zauważała wokół siebie niczego. Była do tego stopnia oszołomiona, że jej umysł nie rejestrował żadnych faktów. Zapamiętała tylko, że drzwi otworzyła zdumiona pani Graham patrząc to na jedno z nich, to na drugie. Marta uświadomiła sobie, że w domu jest więcej ludzi, najwyraźniej czekających na zaproszenie do posiłku. W rogu zobaczyła pastora rozmawiającego z mężczyzną, którym, jak sądziła, był Ben Graham. Wszędzie wokół pełno było dzieci. Nawet nie próbowała ich policzyć. Mężczyzna, który ją tu przywiózł, Clark Davis, rozmawiając z panią Graham, podszedł do pastora i Bena. Zwracając się do nich zaczął wyjaśniać:

– Postanowiliśmy...

*Jacy my?! – wybuchnęła sprzeciwem w swoich myślach. Ty postanowiliś!*

– Postanowiliśmy się pobrać i skorzystać z okazji, że pastor jest jeszcze tutaj, aby poprowadzić ślub. Dzięki temu pani Claridge będzie miała dom, a moja Missie matkę.

Usłyszała, jak pani Graham mówi:

– To jedyna rozsądna rzecz, jaką możecie zrobić.

Potem słowa pastora:

– Tak, tak, oczywiście.

Zapanowało ogólne poruszenie, szybko przygotowywano miejsce. Po chwili tak krótkiej, że aż wydawało się to niemoralne, usłyszała dobrze znane sobie słowa. Musiała udzielić poprawnych odpowiedzi we właściwych chwilach, gdyż w końcu jak przez mgłę dotarło do niej zdanie wypowiedziane przez pastora:

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Ponownie zapanowało wokół niej poruszenie. Pani Graham przygotowała dodatkowe miejsca przy stole i zachęcała, aby „zostali i zjedli coś, zanim pojedą”. Następnie usiedli do posiłku. Zanim dorośli wrócili do domu z pogrzebu, starsze dziewczęta zdążyły już nakarmić dzieci. Pastor pobłogosławił jedzenie. Przy stole wokół niej toczyły się różne rozmowy. Musiała coś zjeść, choć później nie mogła przypomnieć sobie, co to było ani też czy jej smakowało, czy nie. Czuła się jak automatycznie poruszająca się i mówiąca maszyna, sterowana przez coś z zewnątrz.

Następnie wstali od stołu i zaczęły się przygotowania do wyjazdu. Pastor spakował posiłek przygotowany dla niego na drogę i żegnał się ze wszystkimi. Jeden ze starszych chłopców Grahamów przyprowadził jego konia. Przed odjazdem pastor przybliżył się do Marty i w prostolinijny sposób ujął jej dłonie w swoje, życząc, aby Bóg był blisko niej w nadchodzących miesiącach. Ben i Clark odprowadzili go do osiodłanego konia, a pani Graham pożegnała go, stojąc w otwartych drzwiach. Potem odjechał. Ma Graham wróciła do pokoju, a mężczyźni podeszli do wozu Clarka.

– Sally Anne, idź, obudź małą Missie i przygotuj ją do drogi. Lauro, razem z Nellie posprzątajcie ze stołu i umyćcie naczynia.

Pani Graham krzątała się i wydawała dzieciom polecenia, lecz Marta siedziała zrezygnowana i bez sił. Była świadoma jedynie tego, że coś się wokół niej dzieje.

Sally wróciła, niosąc na rękach nieco rozczochrane małe dziecko, które pomimo widocznej senności obdarzyło wszystkich szczęśliwym uśmiechem. Marta zauważyła tylko ten uśmiech i niebieskie oczy, które z ciekawością patrzyły na nieznaną kobietę. *To musi być Missie* – pomyślała obojętnie. Przypuszczenie to potwierdziło się, gdy w progu pojawił się Clark, a dziewczynka powitała go radosnym okrzykiem i wyciągniętymi rączkami. Przytulił ją do piersi, a potem na chwilę dotknął jej policzka swoim. Podziękował gospodarzowi i gospodyni, po czym zwrócił się do Marty, dając jej do zrozumienia, że będą wyruszać.

Pani Graham wyszła razem z Martą. Nikt nie składał nowożeńcom gratulacji ani życzeń. Nikt nie robił z tego ślubu święta, co wywołało w niej westchnienie ulgi. Była pewna, że jedno nieopatrnie wypowiedziane słowo, choćby całkiem szczerze, przelałoby szalę goryczy i wywołało u niej potok łez. Nikt jednak nic nie powiedział. Nikt nawet nie wspomniał o małżeństwie. Ci pionierzy byli wrażliwi na uczucia innych.

Pożegnali się jak sąsiad z sąsiadem. Spojrzenie pani Graham było jednak pełne czułości, gdy zwróciła się do Marty:

– Dam ci kilka dni na urządzenie się, a potem przyjadę z wizytą. Dobrze będzie mieć tak blisko inną kobietę, którą będę mogła od czasu do czasu odwiedzić.

Marta podziękowała i ruszyli na farmę Clarka. Znowu byli zdani na łaskę i niełaskę piaszczystej drogi oraz gorącego słońca.

– To tam, już niedaleko.

Marta niemal podskoczyła słysząc słowa Clarka Davisa, spojrziała jednak w stronę, w którą skierowany był jego wskazujący palec.

Zobaczyła osłonięte drzewami od północy i niewielkim wzniesieniem terenu od zachodu gospodarstwo, które należało do siedzącego obok niej mężczyzny. Była to niewielka, ale schludnie wyglądająca chata ze studnią przed wejściem i ogródkiem z jednej strony. Wzdłuż drogi prowadzącej do drzwi rośło kilka drobnych krzewów. Nawet z oddali widziała rozkwitające na nich jesienne kwiaty.

Po drugiej stronie domu stała solidna obora dla koni i bydła, a jeszcze dalej, pośród drzew, chlew dla świń. Między oborą a domem znajdował się kurnik, a tu i ówdzie stało jeszcze kilka innych drobnych budynków. Pomyślała, że upłynie nieco czasu, zanim pozna przeznaczenie każdego z nich. Teraz była zbyt wyczerpana, aby się tym przejmować.

– Ładnie tu – wyszeptała, zdumiewając samą siebie, gdyż nie zamierzała powiedzieć niczego takiego.

To, co ujrzała, tak bardzo przypominało jej marzenia o gospodarstwie, jakie snuli razem z Clemem. Myśl ta zabolą ją i wydobyła z jej piersi cichy szloch. Nie powiedziała nic więcej i poczuła ulgę, gdy Missie, ucieszywszy się, że widzi swój dom, skupiła na sobie całą uwagę ojca.

Gdy dojechali na miejsce, wybiegł im na spotkanie pies, czule przywitany przez Clarka i Missie.

Clark pomógł jej zsiąść i powiedział łagodnie:



– Najlepiej wejdź do środka, żeby schować się przed słońcem. Połóż się, odpocznij. Sypialnia jest za salonikiem. Ja zajmę się Missie i wszystkim, czego trzeba dopilnować. I tak jest za późno na pracę w polu.

Otworzył drzwi i przytrzymał je, gdy ona wchodziła do tego obcego domu, który odtąd miał być jej własnym. Potem wyszedł, zabierając ze sobą Missie.

Nie rozejrzała się nawet wokół siebie, czując, że musi się położyć, gdyż w przeciwnym razie upadnie. Przeszła jakoś przez kuchnię i znalazła drzwi z boku saloniku, za którymi znajdowała się sypialnia. Łóżko wyglądało zachęcająco. Zatrzymała się tylko na chwilę, aby wysunąć nogi z butów, po czym padła na pościel. W domu było chłodno i zmęczone ciało zaczęło domagać się pierwszeństwa nad oszołomionym umysłem. Wstrząsnął nią szloch, stopniowo jednak uspokoiła się na tyle, że mogła zapaść w głęboki, choć niespokojny sen.



## Rozdział 3

*Małżeństwo z rozsądku*

Obudziła się i wyrzała przez okno. Ze zdumieniem zobaczyła, że na zewnątrz zapadł już zmierzch. Jak przez mgłę dochodziło do niej, że ktoś krząta się po kuchni. Dopiero zapach kawy i boczku uświadomił jej, że jest bardzo głodna. Usłyszała radosne szczebiotanie Missie i przypomniała sobie, dlaczego się tu znalazła. Nie przejmując się swoim wyglądem wstała, założyła buty i odgarnęła włosy z twarzy. Była przekonana, że przedstawia sobą widok godny pożałowania, ale jakie to miało znaczenie? W przyćmionym świetle ze zdumieniem dostrzegła swój kufer ustawiony przy ścianie obok komody. Było w nim wszystko, co posiadała. Jednak nawet ta myśl jej nie wzruszyła.

Otworzyła kufer, wyjęła szczotkę i przeciągnęła nią po włosach. Potem odnalazła wstążkę i związała włosy z tyłu głowy. Miała nadzieję, że teraz wygląda nieco lepiej. Wygładziła pogniecioną suknię i skierowała się w stronę kuchni, z której dochodził zapach kawy. Gdy weszła, Clark obrzucił ją baczny spojrzeniem, a potem wskazał ręką krzesło przy stole.

– Nie gotuję zbyt dobrze, ale da się tym napęlnić żołądek – powiedział.

Marta usiadła, a Clark wziął z kuchenki talerz z naleśnikami i drugi z boczkiem. Postawił je na stole, a po chwili doniósł parującą kawę. Poczowała się zakłopotana, uświadomiwszy sobie, że przejął jej obowiązki. *To ostatni raz. Od teraz będę robiła, co do mnie należy* – postanowiła. Gdy Clark usiadł, już miała sięgnąć po naleśnik, ale w ostatnim momencie powstrzymał ją jego głos.

– Ojczy, dziękujemy Ci za to jedzenie, które w swej dobroci nam dajesz. Bądź z Twoją córką jako Pocieszyciel w tak trudnej godzinie, pobłogosław ten dom i uczyn go prawdziwym domem dla każdego, kto w nim mieszka. Amen.

Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w siedzącego naprzeciw niej mężczyznę, który nie był przecież kaznodzieją, a mówił coś z zamkniętymi oczami do jakiegoś Boga, którego ona nie widziała ani nie znała.

Oczywiście słyszała o ludziach, którzy mieli jakiegoś Boga nie tylko w kościele, jakąś religię, która była czymś więcej niż świętowaniem ślubu i wyprawianiem pogrzebu. Nigdy jednak nie stanęła twarzą w twarz z żadnym z nich. Ani też nie pragnęła tego teraz, gdy chwilę się nad tym zastanowiła. Ma swojego Boga? Ale co mu to dało? I tak potrzebował kogoś, kto by mu pomógł z Missie. Wydawało się, że jego Bóg niewiele w tej sprawie zrobił. A właściwie, co ją to obchodziło? Jeśli dobrze pamiętała, to ludzie, którzy wierzyli w Boga, nie upijali się i nie bili swoich kobiet. Czyli przy odrobinie szczęścia nie będzie musiała niczego takiego znosić. Nagle ogarnęła ją nowa fala rozpacz. Nic o tym człowieku nie wiedziała. Jaki on jest? Może powinna

się cieszyć z tego, że przynajmniej jest religijny – to może jej oszczędzić wielu kłopotów.

– Nie jesteś głodna?

Podskoczyła na dźwięk jego słów i uświadomiła sobie, że siedzi, błędząc gdzieś myślami.

– Jestem, jestem – wymamrotała i nałożyła sobie naleśnika, którego jej podsunął.

Missie jadła z wielkim, zdumiewającym u tak drobnego dziecka apetytem. Równocześnie szczebiotała coś ciągle do ojca. Marcie wydawało się, że rozumiała jedno czy dwa słowa, ale właściwie nie starała się nawet słuchać tego, co mówiło dziecko.

Po posiłku usłyszała samą siebie mówiącą, że pozmywa naczynia. Clark zgodził się i stwierdził, że w takim razie on położy Missie spać. Pokazał Marcie, gdzie co jest, a potem wziął Missie, zaczął ją myć i przygotowywać do łóżka.

Marta zabrała się do sprzątnięcia ze stołu. Gdy zaczęła otwierać drzwiczki i szuflady, które zagospodarowała inna kobieta, ogarnęło ją dziwne uczucie zakłopotania. Wiedziała jednak, że musi je pokonać. Przecież miała zajmować się tą kuchnią tak, jakby należała do niej. Nie zdołała jednak opanować dreszczu, który wstrząsnął jej ciałem.

Poszła wylać wodę po myciu naczyń pod krzew róży rosnący przy drzwiach. Gdy wróciła, Clark właśnie ustawiał krzesła przy kuchennym stole.

– Już śpi – powiedział cicho.

Marta powiesiła misę do mycia naczyń na kołku, a ręcznik na wieszaku, aby wysechł. *Co teraz?* – pomyślała w panice, ale on szybko wybawił ją z kłopotu.

– Szuflady w komodzie są puste. Przeniosłem swoje rzeczy do przybudówki. Możesz się rozpakować i rozgościć. Korzystaj ze wszystkiego, co jest w domu. Zrób też listę rzeczy, których będziesz potrzebowała. Z reguły w sobotę jeżdżę do miasteczka na zakupy. Przywiozę ci, czego potrzebujesz. Gdy poczujesz się lepiej, będziesz mogła pojechać ze mną i sama wszystko wybrać – popatrzył na nią, po czym dodał cicho: – Chyba powinnaś się przespać. To był trudny dzień. Wiem, że będziesz potrzebowała trochę czasu, aby otrząsnąć się z bólu i poczuć się tutaj jak w domu. Nie będziemy cię poganiać.

Wzrokiem nakazał jej, aby teraz posłuchała i zrozumiała dokładnie to, co zamierzał powiedzieć:

– Poślubiłem cię tylko po to, aby Missie miała mamę. Byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś pozwoliła jej nazywać siebie w ten sposób.

To był rozkaz – czuła to. Wytrzymała jednak jego wzrok i choć nic nie powiedziała, patrzyła na niego butnie. W porządku! Zna swoje miejsce. On zaferował jej mieszkanie, ona w zamian miała zająć się jego dzieckiem. Nie prosiła o miłosierdzie. *Zapracuję na swoje utrzymanie. Będę mamą dla Missie.* Odwróciła się bez słowa i poszła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała opierając się o nie. Gdy zebrała siły, podeszła cicho do śpiącego dziecka. Lampa rzucała słabe światło, przez co postać w kołysce wydawała się jeszcze mniejsza.

– W porządku, Missie – wyszeptwała Marta. – Zawrzyjmy umowę. Ty będziesz grzecznym dzieckiem, a ja zrobię, co będę mogła, aby dobrze się tobą opiekować.

Wyglądała na tak małą i bezradną. Marta uświadomiła sobie, że stoi przy łóżeczku dziecka, które nie ma jeszcze dwóch lat, a które już zostało głęboko zranione. Czym to małe dziecko sobie zasłużyło, aby matka, którą kochało, została mu zabrana? Dziecko Marty delikatnie poruszyło się w jej łonie. Położyła rękę na miejscu, które powoli powiększało się dając światu do zrozumienia, że będzie matką. *A gdyby to moje dziecko zostało pozbawione mojej opieki?* Myśl ta sprawiła, że niemal ogarnęła ją panika. Ponownie spojrzała na śpiącą dziewczynkę, jej brązowe loki okalające drobną twarzyczkę i coś poruszyło się w jej sercu. Nie była to jeszcze miłość, ale mały krok we właściwym kierunku.



Następnego ranka wstała, gdy tylko usłyszała ciche stuknięcie drzwi. Najwidoczniej Clark przyszedł do kuchni zanim udał się do obory. Cicho, aby nie obudzić Missie, ubrała się i wyszła z sypialni zdecydowana pełnić swoją rolę w tym małżeństwie z rozsądku, jakie zawarła. A więc miała dach nad głową. Zapracuje na niego. Nie będzie zawdzięczać niczego żadnemu mężczyźnie, zwłaszcza temu, którego nazwisko teraz nosiła – chłodnemu i wyniosłemu. Nawet w myślach nie potrafiła uznać go za swego męża. Trudno jej będzie pamiętać, że nie jest już Martą Claridge, lecz Martą Davis. Obojętnie zaczęła zastanawiać się, czy nastęrczałoby to jakichś problemów prawnych, gdyby uparcie trzymała się swego „prawdziwego” nazwiska. Na

pewno mogłaby bez naruszenia prawa nazywać się Marta Lucinda Claridge Davis. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że dziecko jej i Clema również będzie nosiło nazwisko Davis.

*O nie!* – stanęła i przycisnęła ręce do twarzy. *O nie, proszę! Chcę, aby moje dziecko miało nazwisko Clema!*

Ale choć walczyła z tą myślą, podczas gdy gorące łzy płynęły jej między palcami, wiedziała, że na tym polu również przegra. Była żoną tego człowieka niezależnie od tego, jak wielką niechęć wywoływała w niej myśl o tym. Dziecko, które urodzi się po zawarciu małżeństwa, choć jest dzieckiem Clema, będzie nosiło nazwisko Clarka. Miała następny powód, by czuć jeszcze większy wstręt do tego człowieka.

– Ja i tak mogę nazywać moje dziecko Claridge, jeśli tylko będę chciała – powiedziała sobie zdecydowanie. – Nie będzie mógł mi tego zabronić.

Otarła łzy rękawem, dumnie podniosła głowę do góry i weszła do kuchni. W dużym, czarnym piecu kuchennym już palił się ogień. Była wdzięczna, że nie będzie musiała się męczyć z rozpaleniem go, mając na barkach niemal niewykonalne zadanie przeżycia kolejnego dnia. Otworzyła kredens i zaczęła przeszukiwać starannie pozamykane puszki, aż w końcu znalazła kawę.

*Wiem, gdzie jest dzbanek na kawę* – pomyślała z ulgą. Sama przecież wczoraj go umyła i odstawiła na miejsce. Świeża woda była w wiadrze na niskim stoliku obok drzwi. Wkrótce kawa była nastawiona.

– Pierwsze zadanie za mną – wyszeptała do siebie. – Co teraz?

Poszperała dokładniej po kuchni i znalazła w końcu wszystko, czego potrzebowała do zrobienia naleśników. Przynajmniej to potrafiła. Ona i Clem żyli niemal wyłącznie na naleśnikach po prostu dlatego, że nie mieli produktów na przygotowanie czegoś innego. Uświadomiła sobie, że gotowanie solidniejszych posiłków nie będzie łatwe. Jej umiejętności kucharskie były bardzo ograniczone. Cóż, będzie musiała się nauczyć. Na pewno da sobie radę. Najpierw musi zorientować się, gdzie w tej piekielnej kuchni znajdują się różne rzeczy.

Rzadko używała słów, które można by określić jako nieprzyzwoite, choć słyszała ich wiele w swoim młodym życiu. Teraz jednak chciało jej się wyrzucić z siebie cały ich potok. Zamiast tego wybrała jedno z mniej nieobyczajnych określeń swego ojca – właściwie jedyne, jakie pozwalano jej wypowiadać.

– A niech to! – wyrzuciła z siebie. – Co ja mam zrobić?

Była pewna, że Clark oczekuje czegoś więcej niż samych naleśników i kawy, ale czego? I skąd ona ma to wziąć?

W kredensie było mnóstwo puszek i pojemników, wszystkie wypełnione różnymi składnikami, ale niczym, co można by zjeść na śniadanie.

Kury! Widziała kury, a gdzie są kury, tam muszą być jajka. Postanowiła ich poszukać. Wyszła przez drzwi kuchenne i znalazła się w szopie przylegającej do kuchni. Jej wzrok padł na dziwną maszynę znajdującą się z boku szopy. Wyglądała jak jakiś wyciąg. Zauważyła sznur biegnący w kierunku podłogi i coś na kształt wyciętych w niej kwadratowych drzwiczek z przymocowanym uchwytem. Zbliżyła się ostrożnie, zastanawiając się, czy nie robi czegoś niewłaściwego. Powoli podniosła drzwiczki,



ciągnąc za uchwyt. Najpierw nie widziała nic. Potem, gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła coś, co wyglądało jak wierzch dużej drewnianej skrzyni. Chyba do tego służył wyciąg i sznur. Zaczęła więc ciągnąć za sznur zauważając, że skrzynia unosi się w górę. Potrzeba było więcej wysiłku, niż myślała, ale okazało się, że da sobie z tym radę.

Skrzynia powoli się wyłaniała, aż w końcu cała wystawała ponad podłogę. Marta czuła bijący od niej chłód. Przymocowała sznur do haka, który widocznie do tego właśnie służył. Z przodu skrzyni znajdowało się coś podobnego do drzwi wykonanych z drewnianej ramy i siatki. Wewnątrz widać było różne produkty spożywcze. Otworzyła drzwiczki i z zachwytem wpatrywała się w obfitość smakołyków, które właśnie odkryła. Jajka, dzbanki ze świeżą śmietaną, mlekiem i masłem, boczek i szynka. Na następnej półce znajdowały się świeże warzywa, małe słoiki z dżemem, a także, co rozpoznała po charakterystycznym zapachu, świeży miód – prawdopodobnie leśny. Cóż za odkrycie! Teraz nie będzie miała żadnego problemu ze śniadaniem. Wzięła boczek i kilka jaj. Potem wybrała jeden ze słoików z dżemem i już miała opuścić skrzynię, gdy przypomniała sobie o Missie. Dziecko powinno pić mleko. Może Clark lubi dodawać śmietankę do kawy? Nie wiedziała. Właściwie niewiele w ogóle wiedziała o tym człowieku.

Ostrożnie opuściła skrzynię z powrotem i położyła wieko na miejsce. Podniósłszy to, co wybrała, wróciła do kuchni. Teraz, kiedy miała już co podać na śniadanie, czuła się o wiele lepiej.

Kawa właśnie się gotowała. Ten zapach przypomniawszy jej, jak bardzo była głodna. Zdjęła naczynia z półki i nakryła do

stołu. Chciała, aby śniadanie było gorące, gdy Clark wróci, wykonawszy poranne prace. Nie wiedziała jednak, ile czasu mu to zajmuje.





Rozdział 4

## Poranne spotkanie

Właśnie wróciła do mieszania ciasta na naleśniki, gdy usłyszała Missie. *Lepiej pomogę jej wstać i się ubrać* – zdecydowała i zostawiła miskę na stole. Gdy stanęła w drzwiach sypialni, uśmiech Missie zniknął. Dziewczynka spojrzała na Martę ze zdziwieniem, a nawet przestraszeniem.

– Dzień dobry, Missie – powiedziała Marta i wyjęła dziecko z łóżeczka, aby położyć je na swoim posłaniu.

– Zastanawiam się, gdzie są twoje rzeczy? – powiedziała do dziecka, nie oczekując jednak odpowiedzi.

Nie było ich w największej komodzie z szufladami, gdyż Marta już otworzyła każdą z nich, gdy poprzedniego wieczoru rozpakowywała swój kuferek. Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła małą komódkę stojącą pod jedynym oknem, jakie znajdowało się w pokoju. Tam były rzeczy Missie. Wybrała takie, które uznała za odpowiednie na dzisiejszy dzień. Missie miała kilka bardzo ładnych sukienek. Jej matka musiała dobrze szyc.

Wróciła do dziecka, które siedziało z szeroko otwartymi oczami, śledząc każdy jej ruch. Położyła ubrania na łóżku

i wyciągnęła do niej ręce, ale gdy tylko mała uświadomiła sobie, że ta obca osoba chciała ją ubierać, chwyciła pospiesznie swoje buty i zaczęła krzyczeć.

Marta pomyślała, że jej wrzask przeraziłby umarłego.

– Missie, przestań! – powiedziała surowo, ale teraz dziecko wyło już ze wszystkich sił. Nie wiedziała, czy ze złości, czy też ze strachu.

– Chcę do taty! – szlochała.

Marta uznała się za pokonaną.

– No cicho już, cicho – powiedziała, podnosząc małą, wrzeszczącą dziewczynkę.

Trzymając wyrrywające się dziecko, pozbierała ubranka i przeszła do kuchni, gdzie posadziła małą w kącie, kładąc obok jej rzeczy. Missie przyciągnęła do siebie ubranka, w dalszym ciągu płacząc. Marta właśnie sięgała po miskę z ciastem na naleśniki, gdy kawa zabulgotała i zaczęła kipieć. Pospiesznie chwyciła dzbanek, odciągając go na brzeg kuchenki. Włożyła za dużo drewna. Piec aż się żarzył od gorąca. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby wytrzeć rozlaną kawę, ale nie znalazła nic odpowiedniego. Poszła więc do swego pokoju, gdzie z szuflady wyciągnęła starą, zużytą suknię. I tak była to właściwie szmata. Wróciła do kuchni, aby posprzątać. Missie dalej wrzeszczała. Właśnie taką scenę zobaczył Clark, gdy wrócił.

Popatrzył najpierw na zrozpaczoną Martę, która teraz do swoich nieszczęść dodała jeszcze oparzony palec, potem na wrzeszczącą w rogu Missie, która w dalszym ciągu kurczowo trzymała swoje ubranka.

Marta odwróciła się od kuchenki. Przecież robiła wszystko najlepiej, jak umiała. Rzuciła mokrą, poplamioną kawą suknię w kąć i wskazała na Missie, tłumacząc:

– Nie pozwoliła mi się ubrać. Cały czas wrzeszczy, że chce do taty.

Nie była pewna, jak zareaguje Clark, ale na pewno nie tego się spodziewała.

– Obawiam się, że pamięć dziecka jest bardzo krótka – powiedział tak spokojnie, że aż zamrugła oczami. – Ona już zapomniała, jak to jest mieć mamę.

Podszedł do kredensu, nie spojrzawszy nawet na Missie, aby nie wywoływać nowego wybuchu płaczu.

– Będzie musiała nauczyć się, że jesteś teraz jej mamą i że to ty decydujesz. Weź ją z powrotem do sypialni i ubierz, a ja zrobię tutaj, co trzeba – wskazał na nieco zabałaganioną kuchnię i częściowo przygotowane śniadanie, po czym otworzył okno, aby wypuścić nieco gorąca wydobywającego się z szalejącego pieca.

Nie spojrzął ani na nią, ani na Missie. Marta wzięła głęboki oddech i podeszła do dziewczynki, chcąc ją podnieść. Mała natychmiast zareagowała wrzaskiem, kopiać i wrywając się jak zranione zwierzę, gdy Marta wносиła ją do sypialni.

– Posłuchaj – powiedziała Marta przez zaciśnięte zęby. – Pamiętasz naszą umowę? Powiedziałam, żebyś była grzecznym dzieckiem, a wtedy ja będę twoją mamą. Teraz nie jesteś grzeczna.

Ale Missie nie słuchała.

Marta posadziła ją na łóżku i ze zdumieniem usłyszała, jak Missie wyraźnie i głośno mówi przez łyzy:

– Ja... chcę... do... mamy!

A więc pamiętała. Gniew Marty zaczął powoli topnieć. Może Missie czuła wobec niej to, co ona czuła wobec Clarka – gniew i frustrację. Nie winiła małej za płacz i kopanie. Sama by tak zrobiła, gdyby życie nie nauczyło jej już, jak bezsensowne i nieskuteczne jest takie postępowanie.

*Och, Missie – pomyślała. Wiem, co czujesz. Mam nadzieję, że z czasem zostaniemy przyjaciółkami, ale najpierw – skrzywiła się – najpierw muszę cię jakoś ubrać.*

Ułożyła ubranka w kolejności, w jakiej ich potrzebowała. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie miała wolnych rąk, aby je wybierać, jednocześnie siłując się z Missie. Potem usiadła i wzięła wrywające się dziecko na kolana. Nie, to nie był strach. Marta czuła, że był to ze strony dziecka czysty gniew.

– Missie! Przestań!

Jej głos utonął w krzykach dziecka. Wtedy jej ręka uderzyła mocno dwa razy w pupę wrzeszczącej dziewczynki. Reakcja była zapewne rezultatem szoku albo też może dziecko uświadomiło sobie, że musi się poddać. W każdym razie oczy Missie rozszerzyły się w zdumieniu, wrzaski ustały i przestała się wrywać. Dalej szlochała głośnym, urywanym płaczem, ale nie stawiała już oporu, gdy Marta ją ubierała.

Gdy wyczerpana i rozczochrana zwycięsko zakończyła bitwę i dziecko było już ubrane, obie ostrożnie przyjrzały się sobie nawzajem.

– Biedne maleństwo – wyszeptała Marta i przyciągnęła ją do siebie.

Ku jej zdumieniu Missie nie opierała się, lecz przytuliła się do niej, pozwalając się objąć i pocieszyć. Kołysały się łagodnie do przodu i do tyłu. Marta nie wiedziała, jak długo to trwało, ale w końcu uświadomiła sobie, że dziecko już nie płacze.

Wyczuwając zapach smażonego boczku dobiegający z kuchni, wstała, wzięła grzebień i uczesała najpierw swoje rozczochrane włosy, a potem brązowe loki Missie. Podniosła ją i razem wrócili do kuchni. Zanurzyła kawałek płótna w zimnej wodzie, aby obmyć łzy dziecka i ochłodzić własną twarz. Clark nawet na nie nie spojrział. *Znowu robi to, co należy do mnie* – pomyślała z niechęcią. Naleśniki były gotowe, jajka usmażone, a boczek skwierczał, gdy Clark zdejmował go z patelni. Kawa parowała w kubkach, a przy miejscu Missie stał mniejszy kubeczek z mlekiem. Wszystko było gotowe. Nie pozostawało nic innego, jak tylko usiąść. Clark przyniósł boczek i zajął miejsce naprzeciw niej.

*Tym razem nie dam się przyłapać. Pamiętam, że poprzednio modlił się, zanim jedliśmy* – pomyślała. Skłoniła więc głowę i siedziała milcząco. Czekwała. Nic się nie wydarzyło. Potem usłyszała cichy szelest – jakby przewracanych stron w książce. Podniosła głowę i zobaczyła, że Clark siedzi z Biblią w ręce, kartkując ją. Poczowała, jak jej policzki pokrywają się rumieńcem, ale Clark nie spojrział na nią.

– Dzisiaj czytamy Psalm 121 – powiedział i zaczął: – „Wznosząc swe oczy ku górą: skądże nadejdzie mi pomoc?”



Marta gorąco pragnęła, aby i dla niej nadeszła pomoc ze strony gór. Była gotowa przyjąć ją z jakiegokolwiek kierunku. Skoncentrowała myśli, aby powrócić do tego, co czytał Clark. Straciła wątek przez tę chwilę, kiedy pozwoliła swym myślom błądzić.

– „Pan cię strzeże, Pan twoim cieniem przy twym boku prawym. Za dnia nie porazi cię słońce ni księżyc wśród nocy. Pan cię uchroni od zła wszelkiego: czuwa nad twoim życiem. Pan będzie strzegł twego wyjścia i przyjscia teraz i po wszystkie czasy”.

Delikatnie odłożył księgę na małą półkę obok stołu, a potem, gdy skłonił głowę i zaczął się modlić, Marta znowu nie zorientowała się, że to ten moment i nie pochyliła głowy wystarczająco szybko.

*A niech go...* – zdenerwowała się. Lecz zaraz jej uwagę przykuły wypowiedane przez niego słowa.

– Boże, dziękujemy Ci za ten wspaniały dzień i Twoje błogosławieństwa.

*Też mi błogosławieństwa* – pomyślała. *Wrzeszczące dziecko, rozlana kawa i oparzony palec. Obejdę się bez takich błogosławieństw.*

Ale Clark modlił się dalej.

– Dziękuję Ci, Panie, że mamy już za sobą pierwsze trudne początki z Missie. Pomóż tej, która przybyła tutaj, aby być jej nową mamą.

*Nigdy nie nazywa mnie po imieniu, gdy mówi do swojego Boga* – pomyślała. *Zawsze „ta”.* *Jeśli jego Bóg potrafi odpowiedzieć na jego modlitwę, to mam nadzieję, że wie, o kim ten człowiek mówi, bo mnie przyda się każda pomoc.*

Usłyszała brzęk łyżek w miskach i uświadomiła sobie, że jej myśli znów gdzieś krążyły i nie słyszała reszty modlitwy ani tym bardziej słowa „amen”, w związku z czym dalej siedziała z pochyloną głową. Znowu się zarumieniła. Podniosła głowę, ale Clark przygotowywał naleśnik dla Missie, jej zawstydzenie pozostało więc niezauważone.

Z początku śniadanie było ciche. Missie była zbyt zmęczona poranną szarpaniną, aby szczebiotać, a myśli Clarka wydały się czymś zaprzątnięte. Marta również siedziała, pogrążając się w swoich niezbyt wesołych rozmyślaniach.

*A co będzie po śniadaniu?* – zastanawiała się z irytacją.

Najpierw będzie musiała pozmywać naczynia, potem wyczyścić zabrudzoną kuchenkę. Co potem? Chciałaby wyprać kilka pożałowania godnych rzeczy, które tworzyły jej garderobę. Chciałaby też wyprać swoje kołdry i spakować je do kufra. Będzie ich potrzebowała, gdy wiosną przyłączy się do jakiegoś wozu jadącego na Wschód.

Myślała o tym, że będzie musiała połatać te kilka sukien, które posiada, jeśli tylko znajdzie gdzieś kawałek płótna. Clark powiedział, że jeździ do miasteczka w soboty. Dzisiaj jest środa. Będzie musiała przejrzeć kredens i zrobić mu listę zakupów. Spojrzała na niego ukradkiem, a potem znów szybko zaczęła wpatrywać się w swój talerz. Na pewno nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. Można by powiedzieć, że był prawie ponury. W każdym razie wielce zamyślony, jakby próbował rozwiązać jakiś problem.

Ciszę przerwała Missie zadowolonym westchnieniem i donośnym stwierdzeniem:

– Wszystko zjedzone, tato.

Odsunęła od siebie talerz. Jej twarz była całkiem inna.

– Moja dzielna dziewczynka – rozpromienił się, a potem szczebiotali coś do siebie.

Nie starała się nawet wsłuchiwać, o czym mówili. Clark wstał i dołał sobie kawy, proponując także jej. Była na siebie zła, że nie zauważyła jego pustego kubka.

Odsunął talerz i wypił łyk gorącej kawy. Potem popatrzył prosto na nią. Choć było to trudne, odwzajemniła jego spojrzenie.

– Możesz jeszcze mieć kłopoty ze znalezieniem różnych rzeczy w domu. Widzę, że wiesz już, gdzie jest „zimny dół”. To dobrze. Na zewnątrz, z tyłu domu, znajdziesz piwnicę. Jest tam już większość warzyw z ogrodu, tylko trochę zostało jeszcze w ziemi. W piwnicy mamy półkę z przetworami, ale będziesz potrzebowała światła, aby coś wybrać – tam jest bardzo ciemno. Obok piwnicy jest wędzarnia. Nie ma w niej teraz wiele. Jesienny ubój i wędzenie planujemy na następny tydzień. Dwóch sąsiadów i ja pracujemy przy tym razem. Są kury – na jajka i do jedzenia. Staramy się, aby stado nie zmniejszało się za bardzo, teraz jest jednak duża nadwyżka. Przed nadejściem chłodniejszych dni nie będzie świeżego mięsa z wyjątkiem kawałka wieprzowiny. Gdy robi się zimno, próbujemy też coś upolować, wtedy mięso dobrze się przechowuje. Czasami zabijamy młodego wołu, jeśli uważamy, że będziemy go potrzebować. W potoku są ryby. Gdy wszystko jest zrobione, czasami próbuję szczęścia i nieraz udaje się coś złowić. Nie powodzi nam się źle.

Nie była to przechwałka, lecz proste stwierdzenie faktu.

– Mamy żyzną ziemię, a Bóg ją błogosławi. Przez ostatnie cztery sezony mieliśmy dobre zbiory. Mamy dużo krów, wystarczająco świń i kur. Warzywa i owoce rosną w ogrodzie, zaraz obok domu. W skrzyniach jest ziarno na zasiew. Mamy też trochę gotówki. Niewiele, ale wystarczy, a jeśli będziemy potrzebowali więcej, zawsze możemy sprzedać świnie. Wiedzie nam się lepiej niż wielu innym, choć sąsiedzi wokół nas również dobrze sobie radzą. Wydaje mi się, że nasza przeprowadzka na Zachód była dobrą decyzją. Kilka lat temu dostałem trochę sadzonek od człowieka z drugiej strony potoku. Za parę lat, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziemy mieli z nich owoce. On mówi, że jabłka mogą być już nawet za rok.

Przerwał na chwilę i, jakby podsumowując, dodał:

– Mówię ci to wszystko, żebyś wiedziała, jak mają się sprawy w gospodarstwie. Zawsze możesz powiedzieć, jeśli będziesz czegoś potrzebować dla siebie lub dla Missie. Nie jesteśmy rozrutni, ale staramy się żyć porządnie.

Po swym długim przemówieniu wstał od stołu i przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniał.

– Mamy kilka dobrych krów mlecznych, a niedługo jeszcze jedna się ocieli. Na pewno wystarczy nam więc mleka i masła. Mamy dobrą parę koni do wozu i jednego wierzchowego, jeśli kiedyś będziesz chciała wybrać się do sąsiadów. Najbliżej mieszkają Grahamowie. Lepszej sąsiadki niż Ma Graham nie mogłabyś sobie wymarzyć. Myślę, że ją polubisz, choć jest trochę starsza od ciebie. Większość jesiennej pracy w polu jest już zrobiona. Jeśli zima przyjdzie później, chciałbym przygotować jeszcze trochę gruntu pod uprawę. Teraz jednak planuję spędzić

kilka dni pomagając jednemu z sąsiadów, który jeszcze nie skończył żniw, bo zbyt późno rozpoczął. Nazywa się Jedd Larson. Jeszcze dzisiaj chcę do niego pojechać i pomóc. Zostanę tam na obiedzie, wrócę dopiero przed wieczorem. Będziesz miała trochę czasu, aby zapoznać się z domem i z Missie. Może nie powtórzą się więcej poranne hałasy takie jak dzisiaj.

Potem zwrócił się do Missie i wziął ją w ramiona.

– Chcesz pójść z tatą do starego Dana i Charliego?

Zgodziła się z radością. Wyszli oboje do obory.

Marta wstała. Żadnych więcej porannych hałasów. To były jedyne słowa, jakimi określił poranny incydent. Wydawało się, że niespecjalnie się tym przejął, ale może jednak martwiło go to bardziej, niż pokazał.

Zacząła sprzątać ze stołu. Clark powiedział tak wiele, że trudno jej było uporządkować te wszystkie wiadomości. *Później się nad tym zastanowię, gdy będzie mi czegoś trzeba* – pomyślała i zaczęła planować sobie dzień.

Rozejrzy się za jakąś balią na gorącą wodę i wypierze swoje ubrania i kołdry. Może uda jej się znaleźć igłę i nici, żeby zacerować i połatać parę rzeczy.

Zanim zaczęła zmywać naczynia, wrócił Clark, aby zostawić Missie, która trzymała się go ze wszystkich sił. Dziewczynka przyzwyczaiła się już, że wszędzie udawała się z ojcem i niełatwo jej było zrozumieć, że teraz będzie inaczej.

– Teraz tata musi iść, a ty zostajesz z mamą. Wrócę wieczorem – łagodnym tonem wyjaśniał szlochającej córeczce.

Gdy już pojechał, a Missie w końcu przestała płakać, Marta odstawiła ostatnie naczynia i zaczęła czyścić kuchenkę. Potem

zamiotła podłogę i uznała, że może zająć się realizacją swoich planów na ten dzień.

Nie miała doświadczenia w prowadzeniu prawdziwego domu, zdecydowała jednak, że zrobi wszystko, aby dobrze sobie z tym poradzić. Jak długo ona będzie tutaj pracować, Clark nigdy nie będzie wstydził się domu, w którym mieszka. Gdy tylko uporządkuje swoje rzeczy, zajmie się domem, który już zbyt długo był prowadzony przez samotnego mężczyznę. Choć Clark był lepszy w prowadzeniu domu niż wielu innych, nie robił tego tak, jak potrafiłaby kobieta. Wystarczy jej kilka dni. Wszystko będzie się prezentowało znacznie przytulniej.





## Rozdział 5

## Jeśli tylko wytrzymam...

Późnym popołudniem skończyła pranie wszystkiego, co należało do niej, a także niektórych rzeczy Clarka i Missie. Z ulgą pomyślała, że dzień jest o wiele chłodniejszy niż wczorajszy. Nie zniosłaby jeszcze jednego równie upalnego. Dzisiejszy dzień bardziej przypominał październikowe babie lato.

Wieszając pranie przed domem spojrzała ku zachodowi. Daleko poza falistymi wzgórzami wznosiły się majestatycznie błękitne góry. Czy to właśnie stamtąd Clark oczekiwał pomocy od swojego Boga?

Drzewa na zboczach wzgórz zabarwione były na żółto i czerwono. Wiele liści leżało już na ziemi, a gwałtowne podmuchy wiatru unosiły je na południe.

Cóż za piękny widok! Jakże szczęśliwa byłaby, gdyby mogła dzielić go z Clemem. Gdyby tylko ona i Clem mogli przeżywać to razem! Gdy wylewała wodę z balii, serce bolało ją dużo bardziej niż zmęczone plecy.

Missie spała. Marta była zadowolona, że choć na chwilę może odetchnąć od dziecka – niemal tak zadowolona, jak z tego, że



Clarka nie będzie cały dzień. Jakże wielką ulgę poczuła, gdy ogłosił to dziś rano. Może będzie miała szczęście i praca u sąsiadów potrwa jeszcze kilka dni. Nie śmiała jednak oczekiwać tak wiele. Wcześniej planowała, że rozejrzy się po farmie, aby zobaczyć, gdzie co jest, ale teraz poczuła się na to zbyt zmęczona. *Odpocznę sobie tylko przez kilka minut, gdy Missie jeszcze śpi, a potem się rozejrzę* – postanowiła.

Wylała resztkę wody po płukaniu, powiesiła balie na kołkach na ścianie domu i zmęczona poszła wyciągnąć się na łóżku. Płakała trochę, zanim zapadła w sen. Był to jednak najbardziej kojący sen, jaki miała od śmierci Clema.



Przebudziła się nagle. Nie wiedziała, co wyrwało ją ze snu; czuła tylko, że coś jest nie w porządku. Może Missie płakała. Uniosła się na łokciu i spojrzała na łóżeczko. Nie, to musiało być coś innego. Missie nie było w łóżeczku. Ale jak to?! Przecież powinna być! Marta zerwała się z bijącym sercem. Gdzie jest Missie? Może Clark wrócił do domu i zabrał dziecko ze sobą?

– Nie panikuj – powiedziała do siebie. – Mała musi być gdzieś w pobliżu.

Sprawdziła w domu, potem w ogrodzeniu dla koni, ale zaprzęgu nie było – czyli Clark jeszcze nie wrócił. Obeszła wszystkie budynki, wołając Missie. Dziewczynki nigdzie nie było. *Musiła się wspiąć na barierkę łóżeczka i wy dostać górą* – pomyślała między nawoływaniem. *Ależ mocno spałam.* Marta

oddalała się coraz bardziej od budynków, ale cały czas nie znalazła Missie. Biegała jak szalona, choć nie chciała stracić panowania nad sobą. Gdzie może być Missie? Co powinna teraz zrobić?

Łzy płynęły jej po policzkach. Suknia rozdarła się u dołu, a w jej ręce powbijały się kolce z krzaków dzikich róż, przez które się przedzierała. Sprawdziła strumień, idąc w górę i w dół jego brzegów, przeszukując jasną, płytką wodę. Nie znalazła jednak żadnego śladu Missie ani czegokolwiek, co by do niej należało.

*Może poszła drogą* – pomyślała i zaczęła biec zakurzoną, wyboistą alejką, ciągle się potykając. Nie sądziła, by dziecko mogło zająć tak daleko. Jednak nie przestawała biec, ponieważ nie wiedziała, co innego mogłaby robić. Wtem na drodze daleko przed sobą zobaczyła zmierzający w jej stronę zaprzęg Clarka.

Mogła stanąć z boku drogi i czekać, aż zbliży się do niej, ale nawet o tym nie pomyślała.

Co powie Clarkowi? Jak mu to oznajmi? Nie można nawet powierzyć jej opiece jednego małego dziecka. Czy Clark będzie wiedział, gdzie jej szukać? Czy będzie znał miejsca, w których ona jeszcze nie szukała?

Gdy wóz nadjechał, musiała zejść z drogi, by zrobić dla niego miejsce. Serce ścisnęło jej się ze strachu i z powodu wyrzutów sumienia. Spojrzała w górę na Clarka, na jej pokrytej kurzem i łzami twarzy malowało się nieszczęście – i... zobaczyła Missie na kolanach swego taty. Wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną.

Clark zatrzymał konie i wyciągnął rękę, aby pomóc Marcie wsiąść do wozu. Niechętnie wspięła się na górę, czując, że kręci jej się w głowie. Co on musi sobie myśleć? Jechali do domu

w milczeniu. Dlaczego nic nie mówi? Nie odezwał się od momentu, gdy ruszyli. Missie również milczała. Lepiej, żeby ta mała diablica nic nie mówiła. Gdyby powiedziała choć jedno słowo, Marta wiedziała, że musiałaby się opanowywać, aby nie dać jej klapsa. Wielka ulga, jaką odczuła, widząc ją bezpieczną i zdrową, ustąpiła miejsca gniewowi. Paliła ją twarz – zarówno w wyniku jej szaleńczych poszukiwań, jak i głębokiego poniżenia. Potem uniosła głowę do góry. A więc on nic nie mówi. Dobrze – ona też nic nie powie. Clark może myśleć, co chce, ale ona nie będzie nic wyjaśniać. Nienawidzi go i nie obchodzi jej to jego rozpuszczone dziecko.

*Jeśli tylko wytrzymam, aż przyjedzie wóz, wyjadę z tego paskudnego miejsca tak szybko, że nawet się nie zorientujesz.*

Kobieta w niej rozpaczliwie chciała się rozplakać, ale jednocześnie ta sama kobieta w niej odmawiała sobie nawet tej namiastki pocieszenia. *Nie waż się* – ostrzegała samą siebie. *Nie waż się dać mu tej satysfakcji.*

Trzymała głowę wysoko uniesioną, patrzyła prosto przed siebie i siedziała tak, aż dojechali do domu. Pogardliwie zignorowała wszelką pomoc oferowaną przez Clarka i zeszła z wozu po kole, rozdzierając suknię jeszcze bardziej.

Clark postawił Missie na ziemi. Marta niezbyt delikatnym ruchem wzięła ją na ręce i poszła do domu. Missie to nie zmarwiło. Nie zwróciła wcale uwagi na to, że jej nowa mama zdenerwowana zaczęła rozpalać nowy ogień w kuchennym piecu, gdyż stary już wygasł.

Następny posiłek do przygotowania. Ale co? To spotęgowało tylko jej wstyd. Wiedziała, że znowu będą to naleśniki. To

właściwie jedyna rzecz, którą naprawdę potrafiła zrobić. *To nic, niech się nimi udławi – myślała. Nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego miałabym się tym martwić? Nic nie jestem mu winna. Żałuję, że nie zostałam w wozie i nie umarłam z głodu. Bardzo tego żałuję.*

Zdumiewające, ale ogień szybko się rozpalił i kuchenny piec wkrótce stał się gorący. Nie przyszło jej nawet do głowy, by być za to wdzięczną, gdy krążyła po kuchni, przygotowując kawę i już drugą tego dnia porcję naleśnikowego ciasta. Zamiast boczku wzięła tym razem kilka kawałków szynki.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego martwiła się tak bardzo tym, że wszystkie jej wysiłki od chwili przybycia do tego domu kończyły się niepowodzeniem. Nie powinno ją to w ogóle obchodzić, a jednak się tym trapiła – choć nigdy by się do tego nie przyznała. Głęboko wewnątrz czuła, że niepowodzenie jest wrogiem, z którym należy walczyć i którego należy pokonać. W ten sposób została wychowana i niełatwo jej było teraz zmienić to przekonanie.

Gdy patelnia się rozgrzewała, Marta rzuciła gniewne spojrzenie na Missie.

– Nie ruszaj się stąd – ostrzegła, a potem pospiesznie wyszła, aby wnieść do środka pranie zanim opadnie wieczorna rosa.

Gdy Clark wrócił z obory, kolacja stała na stole. Jeśli był zdumiony, że znowu są naleśniki, nie okazał tego. Z niezadowolaniem uświadomiła sobie, że jego naleśniki były tak samo dobre, jak jej. *I co z tego? – zachnęła się. Moja kawa jest nieco lepsza.*

Musiało tak być, ponieważ gdy znowu nie zauważyła pustego kubka Clarka i on wstał, aby go napełnić, powiedział:

– Dobra kawa – po czym dołał i jej. Zażenowana Marta odwróciła głowę i wzruszyła ramionami.

Po kolacji posprzątała ze stołu i umyła Missie przed snem. Ciągle jeszcze chciało jej się potrząsnąć tym bachorem za każdym razem, gdy ją dotykała, ale powstrzymywała się.

Gdy Missie była już w łóżku, a Marta umyła swoje zmęczone i brudne nogi, mruknęła „dobranoc”, po czym zabierając swoje rzeczy z krzesła w saloniku, poszła do sypialni i zamknęła drzwi. Równiutko poskładała na łóżku swoje znoszone suknie i bieliznę. Gdyby tylko miała igłę i jakieś nici! Ale na pewno go nie poprosi. Nigdy!

Ogarnięta żalem nad sobą, usiadła na łóżku. Właśnie wtedy zauważyła w rogu za drzwiami mały koszyk z przyborami do szycia. Przez chwilę nie mogła uwierzyć w swoje zdumiewające odkrycie, gdy jednak podeszła bliżej, znalazła więcej igieł i nici, niż by śmiała sobie zamarzyć.

Nici były różnokolorowe, a igły rozmaitych wielkości, do tego doskonałe nożyczki, a nawet niewielkie kawałki tkanin.

Energicznie zabrała się do pracy. Szyć potrafiła bardzo dobrze, choć naprawianie zniszczonych ubrań to z pewnością nie to samo, co szycie.

Gdy spróbowała zrobić coś przyzwoitego ze znoszonymi, leżącymi przed nią rzeczami, szybko się rozczarowała. Im dłużej pracowała, tym większe ogarniało ją zniechęcenie. Najpierw zabrała się za najmniej zniszczone rzeczy, ale gdy dotarła do kilku ostatnich, była całkowicie przygnębiona. Wiedziała, że nie

wytrzymają zimy, a pewne było, że nigdy o nic go nie poprosi. Nigdy! Nawet gdyby była zmuszona do chodzenia w szmatach.

Gdy ściągała z siebie rozdartą suknię i zakładała naprawioną nocną koszulę, przypomniła sobie jego słowa: „Nie jesteśmy rozrzutni, ale staramy się żyć porządnie”.

*Dobrze, panie Porządny, ale co zrobić, gdy nie ma się nic, aby być porządnym?*

Kiedy padła na łóżko i wydarzenia dzisiejszego dnia prze-wijały się przez jej umysł – rozlana kawa, wrzeszcząca Missie, gorączkowe poszukiwanie, naleśniki – zaczęła szlochać i ponownie zasnęła płacząc. Gdyby tylko był tutaj Clem, jej świat znowu byłby normalny...





## Rozdział 6

# Porządki

Następnego ranka, gdy Marta wyjrzała przez okno, zobaczyła zachmurzone niebo. Następowwała zmiana pogody. Wyglądało na to, że wkrótce piękne babie lato ustąpi miejsca surowej zimie, ale pomyślała, że jeszcze trochę to potrwa. Dzień był w dalszym ciągu ciepły, a chmury być może wkrótce się rozproszą i znowu zaświeci słońce.

Powoli wstała z łóżka. Pomyślała, że dzisiaj na pewno pójdzie jej lepiej niż wczoraj. Wydawało jej się, że wczorajszy dzień był tak dawno temu... i dzień przedwczorajszy... dzień, w którym pochowała Clema... Nie mogła uwierzyć, że to stało się zaledwie dwa dni temu. Dwa dni, które wydawały się wiecznością.

Włożyła suknię, którą naprawiła poprzedniego wieczoru, spojrzała w kierunku Missie i cicho podeszła do drzwi. Miała nadzieję, że wczorajsza poranna scena się nie powtórzy. Nie wiedziała, czy potrafiłaby znieść to ponownie. Nastawiła kawę i postawiła talerze na stole, a potem zaczęła przygotowywać poranne naleśniki.



*Do diabła – zagryzła wargi. Sama mam już dość naleśników.* Ciągłe jedzenie naleśników nie wydawało jej się złe, gdy razem z Clemem nie mieli nic innego, ale skoro teraz było tyle dobrych, świeżych produktów do dyspozycji, przygotowywanie po raz kolejny naleśników wydawało się jej hańbą. Będzie musiała później coś wymyślić, ale na razie potrzebują zjeść śniadanie. Wyszła przynieść trochę boczku.

Missie obudziła się i bez oporu pozwoliła się ubrać. Ta bitwa została wygrana na dobre! Posadziła małą w zrobionym przez Clarka dziecięcym krzeselku i odsunęła je od stołu, aby małe paluszki nie zaczęły chwycić wszystkiego, co popadnie.

Gdy Clark wrócił z obory, śniadanie było gotowe, a Missie grzecznie siedziała w swoim krzeselku. W jego spojrzeniu widać było, iż zauważył, że dziewczynka jest ubrana i spokojna. Nie powiedział jednak tego głośno, więc Marta odetchnęła z ulgą. Usiedli razem do stołu. Po porannym czytaniu Biblii i modlitwie śniadanie przeszło bez żadnego niezwykłego wydarzenia.

Cały czas przyglądała się ukradkiem, czekając, aż kubek Clarka będzie pusty, gdy jednak podskoczyła, aby dolać mu kawy, on machnął ręką.

– Chyba nie będę pił drugiego kubka. Chciałbym, ale nie mam czasu. Z każdym dniem niebo wygląda coraz bardziej zimowo, a Jedd ciągle ma zboże na polu. Chcę jak najszybciej tam pojechać – zawahał się – ale kawa jest naprawdę dobra.

Marta dolała sobie i odłożyła dzbanek. Jedyna rzecz, jaką mógł o niej powiedzieć, to tyle, że robi dobrą kawę. Może oboje mają szczęście, że Marta potrafi chociaż tyle!

Clark zatrzymał się u drzwi i rzucił przez ramię:

– Dzisiaj też będę jadł obiad u Larsonów – i już go nie było.

Tym razem Missie płakała tylko kilka minut. Marta wróciła myślami do jego słów. *Na pewno jest zadowolony, że może zjeść jeden posiłek dziennie u Larsonów. Czy nie byłoby śmiesznie, gdyby pani Larson zrobiła naleśniki?* Nie mogła powstrzymać uśmiechu, który pojawił się na jej wargach. Potem usiadła, aby spokojnie wypić drugi kubek kawy i zaplanować dzień. Najpierw opróżni i dokładnie wyczyści kredens, potem resztę kuchni, ściany, okna, zasłony. *Do wieczora* – obiecała sobie – *wszystko będzie błyszczeć.* Wstała od kawy szybciej niż zamierzała, albowiem zaplanowawszy dzień chciała jak najwcześniej zacząć pracę.

Pospiesznie umyła naczynia i znalazła dla Missie jakieś rzeczy, które, jak miała nadzieję, mogły przez chwilę ją zająć. Potem gorliwie ruszyła do pracy. Pomyślała, że może brakować jej wielu umiejętności, ale potrafi solidnie pracować – i rzeczywiście się przyłożyła.

Zanim tykający zegar nad kominkiem powiedział jej, że jest wpół do pierwszej, kredens był wyczyszczony, a wszystko w nim poustawiane według jej gustu. Odkryła też pewne nowe produkty, na przykład mieloną kukurydzę na bułeczki i ziarna do zrobienia płatków. Może teraz nie zawsze będzie musiała serwować na śniadanie naleśniki.

Zrobiła przerwę w sprzątaniu, by przygotować dla siebie i Missie posiłek. Usmażyła szynkę, pokroiła chleb i podała z mlekiem do popicia. Cieszyła się, że mleka jest pod dostatkiem. Clem martwił się tym, że w drodze nie piła mleka, które

jest tak ważne dla zdrowia dziecka. Teraz mleka było mnóstwo i synek Clema, gdy się urodzi, będzie silny i zdrowy.

Gdy Marta położyła Missie spać, zabrała się znowu do pracy. Była zmęczona, ale pod żadnym pozorem nie mogła sama się położyć. Nie da Missie pretekstu, aby powtórzyła swój wczorajszy wyczyn. Ten mały brzdąc musiał przejść prawie dwa kilometry, zanim spotkał ojca. Na myśl o tym znów poczuła strach i ukłucie wstydu. Nie, nie pozwoli, aby stało się to ponownie, nawet gdyby konała ze zmęczenia.

Pracowała dalej, piorąc zasłony i wieszając je na wietrze, aby wyschły. Potem zabrała się za okno i myła je tak długo, aż zaczęło lśnić. Następne w kolejce były ściany. Okazało się, że ma więcej siły, niż sądziła. Była to ciężka, powolna praca, ale Marta była zadowolona z rezultatów. Gdy szorowała drewniane ściany, zdumiewało ją, że pochłaniały tak dużo wody – kilka razy musiała ponownie napełniać wiadro. W pewnym momencie przypomniała sobie o zasłonach, przestała więc szorować ściany i poszła poszukać czegoś, co przypominałoby żelazko. Chciała je wyprasować przed ponownym powieszeniem. W kredensie ustawionym w rogu szopy znalazła kilka ciężkich żelazek. Postawiła je na piecu, aby się rozgrzały. Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że zaprzątnięta szorowaniem znowu pozwoliła, aby ogień wygasł. Musiała więc rozpalić go od nowa. Zła na siebie, rozniecała mały płomyk, aż w końcu rozpalił się na dobre. Wróciła więc do szorowania. Musiała jeszcze kilka razy napełniać wiadro, a nawet pójść do studni, bo zużyła całą wodę, jaka była w domu. Wreszcie praca była skończona. Belki lśniły, pomimo że wchłonęły tyle wody.

Gdy przyniosła zasłony do domu, żelazka były wystarczająco gorące, by nimi prasować. Zasłony wyglądały świeżo i czysto, gdy zawiesiła je w oknie. Kiedy Missie się obudziła, Marta wyjęła ją z łóżeczka i dała jej kubek mleka. Przy okazji sama też się napiła. Missie wydawała się radosna po swojej drzemce, coś do niej szczebiotała. Martę cieszyło towarzystwo tej małej, rozmownej dziewczynki. Dziecko i ciężka praca odciągały jej myśli od innych spraw. Umieściła Missie w jej krzeselku, dała jej kawałek chleba, po czym zaczęła doprowadzać do porządku drewnianą podłogę. Szorowała ją szczotką maczaną w wodzie z mydłem. Zanim skończyła, jej ręce i plecy przenikał dotkliwy ból, ale podłoga była cudownie czysta. Wytrzepała dywanik leżący przed drzwiami i położyła z powrotem na miejsce. Potem stanęła i przyglądała się kuchni. Wszystko błyszczało i pachniało czystością. Była z siebie dumna. Kuchenne okno lśniło, zasłony tchnęły świeżością. I tylko ściany... – ściany wydawały się jakies dziwne. Belki były czyste i błyszczały, ale szpary między nimi wyglądały inaczej niż zwykle, stały się szare i błotniste. Przedtem były białe.

Podeszła do najbliższej ściany i dotknęła palcem wypełnienia między belkami. Ono nie tylko wyglądało jak błoto. To było błoto. Zmarszczyła nos. Co ona narobiła? Oczywiście, woda! To nie belki piły wodę, ale wypełnienia między belkami. Wchłonęły ją i teraz były lepkie i miękkie. Miała gorącą nadzieję, że wszystko szybko wyschnie, zanim Clark wróci do domu. Spojrzała na zegar. To już niedługo. Musiała od razu zabrać się do roboty, jeśli chciała przygotować na kolację coś innego niż naleśniki.

Wtedy dopiero zauważyła, że nie ma już chleba. Nie wiedziała, co ma zrobić. Nigdy wcześniej nie piekła chleba ani nawet nie przyglądała się, jak robiła to jej matka. Nie mogła więc czegośkolwiek pamiętać. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak zacząć. Postanowiła więc, że zrobi bułki. Choć nie wiedziała też, jak się piecze bułki, myślała, że na pewno nie będzie to takie trudne. Umyła ręce i podeszła do kredensu. Teraz, gdy poustawiała w nim wszystko tak jak chciała, czuła, że jest to „jej kredens”.

Znalazła mąkę i sól. Czy do bułek dodaje się jajka? Nie była pewna, ale na wszelki wypadek wbiła kilka. Dodała mleka i rozmieszała ciasto. Czy to wystarczy? Trzeba spróbować.

Obrała i pokroiła kilka ziemniaków, żeby je usmażyć, przyniosła też trochę szynki. Uznała, że oprócz tego powinna przyrządzić jakieś warzywa, zaczęła więc obierać marchew. Przy tej czynności usłyszała, jak Ole Bob szczekaniem wita wracający do domu zaprzęg. Clark zajmie się końmi, a potem wieczornymi pracami przy zwierzętach. Przyjdzie na kolację za jakieś czterdzieści minut. Zostawiła więc marchew i poszła wstawić bułki do pieca. Poszło dość łatwo. Wyobrażała sobie uznanie w oczach Clarka, gdy będzie sięgał po następną. Wróciła do ziemniaków i pomieszała je na patelni, żeby się nie przypaliły.

– Kawa! – zawołała nagle.

Pospiesznie postawiła dzbanek na kuchence. Potrafi przecież zrobić dobrą kawę! Pokroiła szynkę i położyła na drugiej patelni, wdychając wydobywający się z niej zapach. Czuć było również piekące się bułki. Z trudem powstrzymywała się przed otwarciem drzwi pieca, aby na nie zerknąć. Była pewna, że potrzebują jeszcze kilku minut. Ponownie zamieszała ziemniaki i spojrzęła

z niepokojem na błotniste wypełnienia pomiędzy belkami. Nie spieszyły się z wyschnięciem. Nic o tym nie powie i może Clark nie zauważy. Do rana na pewno będą znowu białe.

Przewróciła szynkę. Ziemniaki były gotowe. Odciągnęła je ku tyłowi kuchenki i dołożyła więcej drewna. Potem przypomniała sobie o marchwi. Ciągle jeszcze była w misce, dopiero w połowie obrana! Pospiesznie zabrała się do pracy nad nią, kalcząc się przy tym w palec. W końcu garnek z marchwią stał na piecu. Postawiła go w miejscu, które wydawało się jej najbardziej gorące.

Ziemniaki były już gotowe, choć dość papkowate, widocznie za długo się smażyły i za często je mieszała. Teraz stały na skraju kuchenki i z każdą minutą wyglądały coraz gorzej. Bułki! Otworzyła szybko drzwi pieca, bojąc się, że dodatkowe minuty zrujnowały jej wysiłki, ale okazało się, że nie miały one żadnego znaczenia. Chyba nic nie mogłoby im już bardziej zaszkodzić. Twarde kawały ciasta siedziały uparcie na blasze, przypominając raczej kamienie niż bułki.

Wyciągnęła je i rzuciła jedną na kredens, aby nieco ostygła, zanim ją spróbuje. Powoli zacisnęła na niej zęby – na próżno, bułka nie ustępowała. Zacisnęła zęby mocniej, też na nic.

– A niech ją...! – powiedziała. Otworzyła piec i wrzuciła bułkę do środka. Płomień wokół niej zasyczał nieco, jak kot wyprężający grzbiet, ale twarde ciasto nie zniknęło. Po prostu siedziało w środku i czerniało lizane płomieniami.

– Piekielna bułka! Nie chce się nawet palić – wyrzuciła z siebie i nałożyła drewna na wierzch, aby zakryć ciasto, by Clark go nie zobaczył.

– A co zrobić z resztą?

Rozejrzała się wokół. Jak pozbyć się tych kamieni? Nie można ich spalić. Nie można ich rzucić psu, bo wszyscy je zobaczą. Zakopie je. Przeklęte bułki. Szybko zebrała je do fartucha i ruszyła do drzwi.

– Missie, zostań tu – zawołała. Potem, przypomniawszy sobie swoje poprzednie doświadczenie, wróciła i odstawiła dzbanek z kawą na brzeg kuchenki.

Wyszła i spojrzała najpierw w kierunku obory upewniając się, że droga jest wolna. Potem szybko pobiegła w najdalszy koniec ogrodu. Ziemia była jeszcze miękka. Upadła na kolana i pośpiesznie wygrzebała rękami dziurę, do której wrzuciła wstrętne kawały twardego ciasta. Zagrzebała je równie prędko i puściła się biegiem do domu. Zanim jeszcze weszła do środka, poczuła zapach przypalonej szynki.

– O nie! – zawołała. – Co za pech!

Szybko umyła ręce w misce na dworze, a łzy spływały jej po policzkach, gdy wbiegła do kuchni, w której wszystko jakby sprzysięgło się przeciw niej.

Gdy Clark przyszedł na kolację, dostał letnie, papkowe ziemniaki i nieco przypalone kawałki szynki z kilkoma ostatnimi kromkami chleba, jakie pozostały. Nie było mowy o marchwi, która dopiero zaczęła się gotować, i oczywiście o smutnych kawałkach ciasta zwanych bułkami. Nic nie powiedział podczas kolacji. Nic za wyjątkiem:

– Naprawdę dobra kawa.



## Rozdział 7

*Miły gość*

Piątek był znowu jasny i słoneczny, choć powietrze nie zachowało ciepła z początku tygodnia. Marta leżała w łóżku myśląc o wczorajszej kolacji. Nie powiedziała nic o tym, co się stało z wypełnieniami między belkami ścian, ale podczas posiłku kawałek gliny w rogu nagle wypadł spomiędzy belek na podłogę, pozostawiając na ścianie błotnisty ślad. Clark spojrział zdumiony w tamtym kierunku, potem jednak wrócił do jedzenia. Marta modliła się, czy też raczej modliłaby się, gdyby wiedziała jak, aby reszta pozostała tam, gdzie powinna. Nic już więcej nie odpadło i w końcu z ulgą mogła posprzątać ze stołu i pozmywać naczynia.

Wieczorami trzeba już było zapalać lampę, gdyż dni były krótkie. Mężczyźni pracowali na polach jak najdłużej, aby dopiero potem przejść do wieczornych prac gospodarskich, więc nim kolacja dobiegła końca, było już całkiem ciemno. Ucieszyła się, gdy tego wieczoru zapadł zmierzch. Światło lampy rzucało cienie, przez co wypełnienia między belkami stały się mniej widoczne. Gdy myła Missie przed spaniem, wydawało jej się, że



słyszy, jak odpada jeszcze jeden kawałek. Udając, że niczego nie zauważa, zaczęła głośniejszym głosem mówić do Missie, próbując zagłuszyć ten wstrętny dźwięk.

To było poprzedniego wieczoru, a teraz, gdy rozpoczynała nowy dzień, zastanawiała się, jakie straszne rzeczy przytrafią się jej dziś. O jednej już wiedziała. Pojemnik na chleb był pusty, a ona nie miała pojęcia, jak temu zaradzić. Przypuszczała, że Clark wie, jak się piecze chleb, ale prędzej umarłaby, niż zapytała jego. A co ze szparami w ścianach? Czy ta nieszczęsna glina w końcu wyschła i stała się taka, jaka powinna być? Przerazeniem napelniała ją myśl o tym, aby pójść i zobaczyć, ale wiedziała też, że leżenie w łóżku nie rozwiąże jej problemów.

Wygramoliła się spod kołdry. Mięśnie po wczorajszym wysiłku ciągle ją bolały. Na pewno będzie czuła ten ból jeszcze przez kilka dni. Poza tym nie spała dobrze. Znowu myślała o Clemie i o tym, jak bardzo jej go brakuje. Ubrała się, przejechała grzebieniem po włosach i weszła do kuchni.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, były ściany. Z każdej z nich tu i ówdzie poodpadały małe kawałki gliny i teraz leżały na podłodze. Zachciało jej się płakać, ale to na nic by się nie zdało. Będzie musiała powiedzieć o tym Clarkowi, wyznaczyć wszystko i przyjąć jego nagane, na którą w pełni zasługiwała.

Dołożyła więcej drewna do ognia i nastawiła kawę. Nagle przyszło jej na myśl pytanie, ile jeszcze dzbanków kawy będzie musiała zaparzyć w swoim życiu. Wydawało jej się w tamtej chwili, że ich liczba przechodzi w nieskończoność.

Znalazła garnek i nastawiła wodę. Dzisiaj rano będą mieli na śniadanie owsiankę. Tylko z czym? Co jeszcze można dać

razem z owsianką, jeśli nie ma bułek, chleba, nic? Rozdrażniona zestawiła garnek z kuchenki i zabrała się za robienie naleśników.

Tymczasem Missie się przebudziła, więc Marta poszła ją ubrać. Dziewczynka uśmiechnęła się, a Marta zauważyła, że odwzajemnia jej uśmiech.

– Dzień dobry, Missie. Chodź do mamy – powiedziała, z trudem wypowiadając te słowa, aby zobaczyć, jak będą brzmiały. Nie podobały jej się jednak i zaczęła żałować, że je wypowiedziała.

Missie chętnie wyciągnęła rączki i gdy Marta ją ubierała, dziewczynka cały czas szczebiotała. Teraz już Marta lepiej rozumiała jej dziecięcą mowę. Missy opowiadała o tacie, o krowach, które robią „muuu”, o kurach, które robią „ko ko”, i o świnkach – Marta nie potrafiła zrozumieć śmiesznego dźwięku, który miał reprezentować odgłos wydawany przez świnię. Uśmiechnęła się jednak do dziecka, gdy zanosila je do krzeselka.

Clark przyszedł na kolejne naleśnikowe śniadanie i przywitał się z córką, która cała rozpromieniona odpowiedziała na jego pozdrowienie.

Po przeczytaniu Biblii skłonili głowy na modlitwę Clarka, który dziękował swojemu Ojcu za spokojną noc i zapowiadający się dobry dzień na dokończenie żniw u Jedda.

Była zdumiona następną częścią modlitwy.

– Ojcze, bądź z tą, która pracuje tak ciężko, aby być dobrą mamą dla Missie i porządną gospodynią tego domu.

Modlił się dalej, ale nie słyszała już jego słów. Wszystko, co dotychczas robiła, kończyło się niepowodzeniem. Nic dziwnego, że Clark uważał, iż potrzebna będzie pomoc od samego

Wszechmogącego, aby wszystko znowu było w porządku. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć z takiej modlitwy czy gniewać, postanowiła więc przestać o tym myśleć – w samą porę, aby powiedzieć „amen”.

– Amen – powtórzyła Missie i rozpoczęło się śniadanie.

Z początku jedli w milczeniu. Clark i Missie wymienili parę słów. W pewnej chwili jednak odezwał się do niej karcącym tonem:

– Nie wolno rzucać naleśnika na podłogę. To niegrzeczne i teraz twoja mama będzie miała więcej pracy.

Marta zauważyła, że w trakcie tego śniadania jeszcze kilka razy mówiąc do Missie nazwał ją mamą. Uświadomiła sobie, że Clark często używał tych słów w ciągu ostatnich dwóch dni. Wiedziała, że z rozmysłem próbuje nauczyć małą dziewczynkę, że Marta jest jej mamą. Chyba będzie się musiała do tego przyzwyczaić. Właściwie po to przecież tutaj jest – na pewno nie po to, aby zabawiać tego śmiertelnie poważnie wyglądającego młodego człowieka siedzącego naprzeciw niej przy stole.

Jeszcze jeden kawałek gliny spadł na ziemię. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Obawiam się, że zrobiłam wczoraj straszny błąd. Zabrałam się za sprzątanie kuchni...

– Zauważyłem, że jest świeża, czysta i ładnie pachnie – przerwał jej Clark.

*Dlaczego on to mówi?* – zastanawiała się ze wzburzeniem. Nabrała jeszcze raz powietrza i kontynuowała:

– Ale nie wiedziałam, że glina w ścianie tak bardzo nasiąknie wodą. Nie miałam pojęcia, że tak długo będzie schnąć.

Clark milczał. Spróbowała jeszcze raz.

– A teraz wszystko odpada. To znaczy, spójrz sam. Kruszy się i spada na podłogę...

– Tak – powiedział nie podnosząc nawet wzroku.

– To się nie utrzyma na miejscu – brnęła dalej. – Co możemy z tym zrobić?

Była już prawie wściekła. Jego spokój wyprowadzał ją z równowagi. Clark spojrział na nią i powoli odpowiedział:

– Jak pojedę do miasta w sobotę, kupię więcej gliny. To jest specjalny gatunek. Wygląda biało i czysto, ale nie chroni przed pogodą – od tego jest glina na zewnątrz. Będzie jeszcze czas, aby to naprawić przed zimą. Woda nie zaszkodziła warstwie zewnętrznej, która trzyma się dobrze. Nic się tym nie martw. Jestem pewien, że nietoperze nie będą wlatywać do środka przez szpary, zanim się za nie zabiorę.

Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. Wstał od stołu.

– Zdaje się, że ciężko wczoraj pracowałaś. Dobrze by było, gdybyś nie próbowała wypolerować całego gospodarstwa na błysk w ciągu tygodnia. Mamy na to czas, a ty w ten sposób tylko się zamęczysz.

Przez chwilę zawahał się, potem dodał:

– Jeśli będziesz chciała jeszcze coś szorować, to po prostu szoruj ściany suchą szczotką, dobrze?

Pocałował Missie na pożegnanie i przypomniał jej, żeby była grzeczna i słuchała się mamy. Powiedział, że jedzie prawdopodobnie po raz ostatni, aby pomóc Jeddowi Larsonowi przy jego zbiorach. To chyba oznaczało, że od jutra będzie częściej

w domu. Myśl ta przerażała ją, ale prędzej czy później taki dzień musiał nadejść.

Nastawiła wodę na pranie szmacianych dywaników, a potem znalazła miękką szczotkę, aby odkurzyć ściany w saloniku.

Nie zajęło to tyle czasu, co szorowanie kuchni, a wystarczyło, aby usunąć pajęczyny i kurz. Była zdumiona, że poszło jej tak szybko, wyczyściła więc także okna i podłogę.

Wyprane zasłony ciągle jeszcze łopotwały poruszane jesiennym wiatrem, a dywaniki schły na słońcu, gdy usłyszała szczekanie psa zapowiadające zbliżający się powóz. Wyjrzawszy przez okno rozpoznała panią Graham. Serce zabiło jej mocniej z wdzięczności, gdy wychodziła, aby ją przywitać. Wymieniły pozdrowienia, po czym sąsiadka zaprowadziła zaprzęg w cień i dała koniom trochę siana, aby spokojnie czekały. Potem poszła za Martą do domu.

Pies leżał teraz z boku drogi, gryząc coś niewielkiego, co przypominało kość. Marta z przerażeniem zobaczyła, że była to jedna z jej bułek! Ten paskudny pies je wykopał. Zaczerwieniona po uszy pospiesznie wprowadziła Ma Graham do domu, mając nadzieję, że starsza kobieta nie rozpoznała, co Ole Bob miał w pysku.

Gdy weszły do kuchni, ogarnęła ją nieśmiałość jak nigdy dotychczas. Po raz pierwszy miała gościa. Nie wiedziała, co robić ani co powiedzieć, i na pewno nie miała nic, czym mogłaby poczęstować panią Graham.

Marta zauważyła, że sąsiadka starała się nie patrzeć na dziury w ścianach; zamiast tego pochwaliła czystą, wyszorowaną podłogę.

Marta krzątała się zakłopotana, dokładając drewno do ognia i nastawiając kawę. Ma Graham bez skrępowania gawędziła o pogodzie, o Missie, którą tak lubiły jej córki, i o dobrych zniwach. Marta w dalszym ciągu czuła się niezręcznie. Wreszcie zagotowała się kawa i Marta nalała każdej z nich po kubku. Umieściła Missie w jej krzeselku, dała jej do picia mleko, a na stole postawiła śmietanę i cukier dla Ma Graham, gdyby chciała z nich skorzystać. Z ciężkim sercem pomyślała, że nie ma nic, co mogłaby podać do kawy – nawet kawałek chleba. Cóż, miała jedynie kawę, więc kawa będzie musiała wystarczyć.

– Widzę, że pracujesz jak mrówka, robiąc jesienne porządki – zauważyła Ma Graham.

– Tak – odpowiedziała Marta.

– Dobrze mieć wszystko wyczyszczone przed nastaniem tych wlekących się dni i nocy, gdy nie da się długo przebywać na zewnątrz. Wtedy szyje się kołdry i robi się na drutach.

Marta myślała dokładnie tak samo.

– Macie wystarczająco dywaników?

Była pewna, że tak.

– A co z kołdrami? Czy nie będziesz potrzebować więcej?

– Nie, raczej nie.

Powoli piły kawę. Potem Ma Graham popatrzyła na nią swoimi ciepłymi, brązowymi oczami.

– Jak się trzymasz, Marto?

Nie chodziło o same słowa, lecz o jej spojrzenie. Ono mówiło, że Ma Graham naprawdę przejmując się samopoczuciem młodej sąsiadki. Mocne postanowienie Marty, aby trzymać się dzielnie, legło w gruzach. Szybko wyrzucając z siebie słowa

opowiedziała o naleśnikach, uporze Missie, pustym pojemniku na chleb, nieudanych bułkach, zniknięciu Missie, glinie wypadającej ze ścian, okropnej kolacji, którą przygotowała wczoraj wieczorem, i w końcu o swej głębokiej tęsknocie za mężem, którego tak niedawno straciła. Ma Graham siedziała w milczeniu, a jej oczy wypełniały się łzami. Potem nagle wstała. Marta przestraszyła się, że uraziła starszą kobietę swoim wybuchem emocji.

– Chodź tutaj, moja droga – powiedziała łagodnie Ma Graham. Ton jej głosu rozwiał obawy Marty. – Nauczysz się, jak się piecze chleb. Potem usiądziemy i spiszę ci wszystkie przepisy, jakie pamiętam. To straszne, przez co musiałaś przechodzić w ciągu tych kilku dni. Jesteś taka młoda, ciągle opłakujesz męża i jeśli się nie mylę – jej życzliwe oczy powędrowały w kierunku brzucha Marty – spodziewasz się dziecka?

Marta w milczeniu skinęła głową przelitykając łzy, a Ma Graham zabrała się do dzieła, pracując i jednocześnie objaśniając, co robi. Po niedługim czasie udało jej się sprawić, że Marta poczuła się bardziej dowartościowana niż kiedykolwiek od dnia, w którym straciła Clema.

Po pracowitym dniu Ma Graham odjechała. Zostawiła Marcie przepisy z dokładnymi instrukcjami, świeżo upieczony chleb, który napełniał swoim zapachem całą kuchnię, kosz pełen produktów, które sama przywiozła, i bardziej pewną siebie Martę, która tym razem nie miała żadnych kłopotów z przygotowaniem kolacji.

Marta wypowiedziała krótką modlitwę, żeby Bóg, jeśli rzeczywiście gdzieś tam jest, zesłał specjalne błogosławieństwo tej wspaniałej kobiecie, którą tak szybko pokochała.